PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI XVIII, XIX i XX.



Roznosicielka wody.

TOM IV

obejmujący zeszyty 19—24

CENA zł. 3.

......

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.

KONSTANTYNOPOL.

WYCIECZKI
po mieście
i okolicach.

(1887 r.)

BRACIOM SWOIM
I KOLEGOM
PAMIĘTNIKI TE
I WSPOMNIENIA
MŁODOŚCI
WSPÓLNIE
PRZEBYTEJ
POŚWIĘCA
AUTOR.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGRANI
GEBETHNERA
i WOLFFA
1926 r.

Zeszyt 21.

Odbito w tłoczni p. f. „St. Święcki“ w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy

Konstantynopol.

Wycieczki po mieście i okolicach.

Po krótkiej łagodnej zimie bałkańskiej nastała piękna bujna wiosna nadbosforska.

Czarną zimową zieleń cyprysów ożywiały jasne odcienie koron platanów, laurów, krzewów, ziół i traw, upstrzonych jaskrawo barwnemi plamami kwiecia przeróżnego.

W każdą niedzielę i święto robiliśmy z Ma wycieczki całodzienne po Carogrodzie, jego przedmieściach i okolicach coraz dalszych — pieszo, koleją, lub parowcami morzem.

W dnie powszednie wieczorami, po zamknięciu magazynu naszego i po kolacji domowej, szliśmy jak zwykle w pobliże: do Ogrodu miejskiego, na Wielką ulicę Pery, na główny most Stambułu i t. p.

W pierwszą niedzielę po świętach Wielkanocy, dn. 17-go kwietnia 1887 roku, przy pięknej pogodzie słonecznej, zaraz po wczesnym obiedzie wybrałem się z Ma do pobliskiej naszego mieszkania Wieży Galaty. Olbrzymi ten kolos piętrzy się przy górnym końcu ulicy Bujuk-Hendek, ktorej piękną perspektywę zamyka zupełnie. Wieżę tę otacza mały placyk, stanowiący szczyt wzgórza Galaty, wzniesiony 150 metrów nad poziom morza. Sama wieża, wysoka 40 metrów, stanowi przeto wyniosły punkt obserwacyjny, obejmujący rozległy widnokrąg. Zbudowana w XIV stuleciu przez Genueńczyków, jako część murów obronnych Galaty, odnowiona po pożarze przez sułtana Mahmuda II, służy obecnie za widownię straży ogniowej.

Wejście przez małe drzwi prowadzi tam na wązkie schodki kamienne, wijące się spiralnie coraz wyżej wśród grubego muru ścian wieży z małemi otworami strzelnic. Po przebyciu 96 schodów kamiennych, wstępuje się dalej po schodach drewnianych, między grubemi belkami o pięciu kondygnacjach. Przebywszy ogółem 141 stopni wchodzimy do wielkiej izby górnej okrągłej, oświetlonej wokół 14 oknami. Tu kilku strażaków dyżurnych zaprasza nas spocząć na małych taboretach, i częstuje uprzejmie wyborną kawą czarną, gotowaną świeżo na małym piecyku żelaznym. Wpośrodku izby przy wielkim słupie wiją się schodki kręcone, które prowadzą do drugiej izby górnej nieco mniejszej o kilkunastu oknach, otoczonej zewnątrz galeryjką wąską z ba-

lustradą żelazną. Szczyt wieży, wieńczy dwie mniejsze widownie sześcioboczne oszklone z daszkiem płaskim, nad którym sterczy maszt do wywieszania sygnałów pożarnych.

Orzeźwieni kawą w izbie głównej, siedząc przy oknach na taboretach drewnianych, rozglądaliśmy wokół wspaniałą panoramę Konstanrynopola. Przez okna zachodnie widać było naszą piękną ulicę Bujuk-Hendek, za nią rozległy gaj smukłych cyprysów prastarego cmentarza miejskiego, t. zw. Kuczuk mezaristan, stanowiącego obecnie piękny park, przecięty ulicami. Za nim port wojenny i pałac admiralicji, dalej przedmieścia: Kasim-Pasza, Haskiej, Sudludże ponad brzegami Złotego Rogu, zakończonego malowniczą doliną rzeki Słodkie wody Europy. Poza nią wzgórza zamglone, otaczające miasto od strony zachodniej.

Przez okna południowe widniał labirynt ulic Galaty, długa zatoka morska Złotego Rogu z dwoma wielkiemi mostami, port handlowy z mnóstwem okrętów. Za niemi rozległa barwna sylweta Stambułu, poczynając od jego starych murów obronnych, przedmieścia Ejub oraz pałacu patrjarchy greckiego Fanar, a powyżej z pysznemi meczetami Selima, Mahmuda, Bajazeda i Aja Sofji, aż do olbrzymich gmachów Seraskieratu i Wysokiej Porty, a w końcu przylądka Eski Seraju. Poza nim na widnokręgu Morze Marmora z zarysami Wysp książęcych.

Przez okna wschodnie w dalszym ciągu rozpatrywaliśmy lazurowe wejście do Bosforu z błękitnemi brzegami Azji mniejszej, z przedmieściami Kadikiej, Hajdar-Pasza, rozległem Skutari, tonącem w bujnej zieleni Kaskundżuk i białym pałacem Bejlerbej- Seraj.

Przez północne okna widniał rozległy obszar ulic Pery na szerokiem płaskowzgórzu, którego pochyłości ku morzu zaległy przedmieścia Fundukli, Tophane, las masztów okrętów stojących na kotwicy przy bulwarach Bosforu i prujących jego wody szmaragdowe w rozmaitych kierunkach.

Ma nie mogła się dość napatrzeć tym czarownym obrazom; przechodziła jeszcze od okna do okna, abym jej objaśniał bardziej wybitne detale.

Niebawem nadeszło jeszcze kilku anglików ze swemi przewodnikami w ręku, napełniając gwarem cichą wartownię. Poprosiłem jeszcze o parę czarek kawy, i pożegnałem uprzejmych gospodarzy, składając hojny bakszysz na tacy.

Powoli, ostrożnie stąpaliśmy po spadzistych schodach i wkrótce wróciliśmy do domu na zwykłą herbatę wieczorną, do której na deser kupiłem po drodze kilka pomarańcz, fig i winogrona.

Wydobyłem z mojej bibljoteki wstęgową „Panoramę Konstantynopola" wydaną przez zakład Loefflera, według zdjęć fotograficznych dokonanych z górnej galerji Wieży Galaty, oraz „Guide Joanne" z dokładnemi objaśnieniami odnośnemi. Długo

jeszcze wieczorem rozpatrywaliśmy je układając projekty naszych dalszych wycieczek po nadbosforskiej stolicy.

Nazajutrz, jak zwykle, po wczesnem śniadaniu poszedłem do naszego magazynu o 8-ej rano. Wkrótce potem przybył tam ksiądz, w sutannie i dużej pelerynie czarnej, w kapeluszu z szerokiem rondem odwiniętem po bokach wgórę. Byłto człowiek w średnim wieku, o kruczych włosach kędzierzawych, o rysach twarzy ostrych, nieprzyjemnych i spojrzeniu niespokojnem. Poprosił o pokazanie mu dużych lamp wiszących do kaplicy Szpitala włoskiego, gdzie był kapelanem. Po obejrzeniu kilku sztuk, wybrał największą o trzech łańcuchach, z kółkiem do wieszania na haku, w cenie sto franków. Prosił o notę z wyrażeniem ceny, i odesłanie lampy zaraz do kancelarji szpitala na odległe przedmieście Szyszli, gdzie miał przyjść wkrótce i wypłacić należność. Kazałem naszemu służącemu zapakować lampę odnieść, lecz nie zostawiać bez odebrania zapłaty. Hamparzum pojechał z paczką tramwajem, zastał w kaplicy księdza, który kazał kościelnemu lampę wysoko, po drabince składanej, powiesić na haku, aby zobaczyć czy będzie dobrze wyglądać. Gdy nasz służący poprosił o należność, ksiądz kapelan powiedział mu bez ogródki, że pieniędzy jeszcze nie ma, że pierwej musi lampę obejrzeć opiekun szpitala prezes Włoskiego towarzystwa dobroczynności, który przyjdzie dopiero za kilka dni... Biedny Hamparzum, rad nierad, wrócił do magazynu z niczem, i opowiedział mi wszystko, tłómacząc się że nie mógł lampy odebrać zpowrotem, bo wisiała bardzo wysoko. W kilka dni potem posłałem go do księdza ponownie z rachunkiem pokwitowanym, lecz znów napróżno. Dowiedziałem się więc zaraz o adres Włoskiego towarzystwa dobroczynności, i sam udałem się tam z rachunkiem. Prezesa zastałem w kancelarji, opowiedziałem mu wszystko i nareszcie otrzymałem należność. Prezes przepraszał mię uprzejmie, i żalił się na owego kapelana, że często robi mu takie nieprzyjemności...

W parę dni potem przyszły do naszego magazynu dwie młode zakonniczki, w habitach szarych, przewiązanych szarfami niebieskiemi, w kapotkach białych lekkich, w których było im bardzo do twarzy. Jedna z nich młodziutka, wysmukła o piersiach wydatnych, o twarzyczce białej zarumienionej, oczach szafirowych ognistych, z uśmiechem czarującym na usteczkach rozchylonych z szeregiem ząbków drobnych; druga jej towarzyszka, brzydka jakby umyślnie dobrana dla podniesienia piękności swej przyjaciółki przez kontrast, mała krępa o twarzy ciemnej, rysach grubych i pospolitych. Podczas gdy pomocnik mój zajęty był przy drugim stole z innym klientem, oglądając różne tace, zakonniczki podeszły do mnie, prosząc po francuzku o pokazanie im lichtarzy kościelnych z oznaczeniem ceny. Piękna zakonniczka kazała swej towarzyszce rozpatrzeć w oknie wystawę z lichtarzami. A sama wyjąwszy nasz Cennik ilustrowany rozłożyła go na moim pulcie, przysunęła się do mnie tak blisko że czułem

jej oddech gorący na skroniach, i zaczęła się żalić na ceny zbyt wysokie, bo mają kaplicę klasztorną ubogą a małe fundusze. Wreszcie ogarniając mię ognistem spojrzeniem swych oczu czarownych, zaproponowała abym przy wolnym czasie w niedzielę wieczorem po nieszporach przyszedł do ich kaplicy, gdzie będzie czekać sama blisko wyjścia, i pokaże mi całe urządzenie. Widząc jednak, że jej dwuznaczne zaloty przyjmuję dość chłodno, nagle wzruszając ramionami, rzuciła mi gniewne spojrzenie, z ironicznym uśmiechem poszła do swej towarzyszki, ujęła ją pod rękę i wyszła z nią szybko na ulicę. Dziwne te orjentalne zakonniczki, pomyślałem, i przypomniałem sobie inną śliczną mniszkę flirtującą po całych dniach z pięknym franciszkaninem na parowcu „Tage", podczas mojej podróży z Afryki do Neapolu... Miłość, władczyni świata wiekuista, i naturalny popęd płciowy potężniejsze są niż śluby klasztorne — oczywiście!

Pan Juljan tymczasem sprzedał turkowi dużą tacę giloszowaną i oddał mi za nią należność do kasy, zapisując do księgi kwotę wpłaconą.

W magazynie naszym w Konstantynopolu największy odbyt miały tace różnej wielkości i kształtu, gładkie i ozdobne. Panuje tam bowiem zwyczaj orjentalny zarówno u turków jak u greków i innych lewantynów, że gości oraz interesantów częstuje się tam konfiturami, sorbetami, lub sokami z wodą, podawanemi na pięknych tacach, które wnoszą zwykle młode córki domu z wielką uprzejmością i wdziękiem — jakby chciały powiedzieć: Przynosimy wam słodycze, ale my z nich najsłodsze!

W drugą niedzielę po Wielkanocy, 24 kwietnia 1887 roku, zaraz po południu wybrałem się z Ma pieszo do głównego meczetu w Stambule wspaniałej Aja Sofji, jednego z cudów świata, arcydzieła architektury bizantyńskiej. W miarę zbliżania się do tej wielkiej świątyni rósł coraz bardziej ogrom jej murów, kopuł i niebotycznych minaretów. W obszernym przedsionku, jak zwykle, siedział tam na skórzanych poduszkach stary imam, pykający powoli dym z wysokiego nargila. Pokłoniwszy się po turecku, złożyłem ofiarę za wejście. Zdjęliśmy nasze trzewiki, i w towarzystwie młodego mułły jako przewodnika naszego, po miękkim dywanie postąpiliśmy parę kroków za próg wejścia głównego. W blasku promieni słonecznych, wpadających przez okna olbrzymie, błyszczały w całym przepychu wspaniałe kolumnady z marmuru, porfiru i granitu. Ponad ścianami nagiemi pięter górnych, nad wieńcem okien jasnych, wisiała jakby w powietrzu lekka kopuła główna meczetu z półksiężycem olbrzymim złotym, zatkniętym w miejsce krzyża złamanego... Z pod puszystego dywanu, po którym stąpaliśmy, ze szczelin posadzki kamiennej, zdawały się unosić opary krwi zakrzepłej z kilku tysięcy trupów dzieci, kobiet i starców, którzy schronili się tu, ufając w nietykalność świątyni, w dniu zdobycia Konstantynopola przez dzicz turecką w r. 1453. Po tysiącu trupów na białym ko-

niu zwycięski sułtan Mahomet II podjechał tu do wielkiego ołtarza i szablą krwawą zwalił na ziemię krzyż z umęczonym Chrystusem!

Niedługo potem turcy podbili całą Grecję, Serbję, Rumuńję i Węgry. Dopiero pod Wiedniem w r. 1683 zwycięska szabla polska naszego Jana Sobieskiego zadała cios śmiertelny potędze Turcji i spowodowała upadek jej stopniowy.

Po obejrzeniu wnętrza Aja Sofji, wychodząc do przedsionka dałem naszemu przewodnikowi za fatygę medżydję srebrną. To rozczuliło tak starego imama, że poprosił nas spocząć obok siebie, a mnie poczęstował nargilem. Gdy podziękowałem uprzejmie, wymawiając się żem niepalący, zdziwił się mocno turek, mówiąc:

— Czyż może być na świecie człowiek, któryby nie palił tytoniu!?

I poczęstował nas wyborną kawą czarną, jaką przyniósł zaraz nasz przewodnik.

Stary imam zwrócił się do Ma z komplementami:

— Podziwiałem pozostawione tu mińjaturowe pantofelki pani...

— Hadżi efendi, świątobliwy panie, odrzekłem, u nas można podziwiać małe stopy niewiast, ale się o tem nie mówi...

— Ach, przepraszam najmocniej!

Aby zwrócić rozmowę na inny przedmiot zauważyłem:

— Jaka szkoda, że w tak wspaniałej świątyni jak Aja Sofja ściany są całkiem puste, nagie.

— Przepisy naszej religji mahometańskiej, odrzekł stary duchowny, zabraniają wyobrażać Boga pod jakąbądź postacią, a tembardziej umieszczać jego obraz w świątyniach. Po objęciu Aja Sofji przez nasze duchowieństwo w posiadanie, musiały być natychmiast usunięte wyobrażenia chrześciańskich świętych: zwłaszcza waszych apostołów żydów, waszego boga Jezusa który też był żydem, oraz jego matki Marji żydówki... Dziwna rzecz, dodał turek, że żydzi uważają chrześcian za antysemitów, skoro w waszych świątyniach na ołtarzach jest mnóstwo żydów, apostołów i innych, do których się chrześcianie modlą i cześć im oddają bałwochwalczą, a chrystjanizm jest tylko zreformowanym mozaizmem...

— Hadżi efendi, odrzekłem, (nie chcąc wdawać się w drażliwą polemikę z owym starym kapłanem) ja nie jestem biegły w teologji, więc nie mogę waszych wywodów przesądzać. Gorsze jednak to, że w imię wiary i religji mahometanie w swoich t. zw. wojnach świętych wymordowali miljony ludzi i zniszczyli mnóstwo zabytków kultury i cywilizacji...

— A czyż chrześcianie i wasi papieże w wojnach krzyżowych i protestanckich mniej wymordowali ludzi i zmarnowali bogactw!?

— Niestety, odrzekłem, wielka to prawda, niestety! A jednak mimo to cywilizacja i oświata ciągle się rozwija i postępuje naprzód... Dzięki ci hadżi-efendi za łaskawą gościnę i uprzejmość!

Pokłoniłem się po turecku, przykładając dłoń prawą do czoła, do ust i do serca. Podałem rękę Ma i wyszliśmy szybko na piękny wirydarz wpobliżu, by wypocząć na ławce i odetchnąć świeżem powietrzem fal Morza Marmora. Przechodzący uliczny kawiarz zrobił nam dwie filiżanki kawy czarnej na poczekaniu, w rondelku blaszanym na piecyku ręcznym z węglem rozżarzonym. Podając puszkę z cukrem miałkim, zapytał po turecku:

— Ister sin efendi szekerli kawe? (Chcesz pan ocukrzonej kawy?).

— Ewet, ei adam! odpowiedziałem. (Tak, dobry człowieku!).

Po wypiciu kawy, ruszyliśmy dalej głównemi ulicami wzdłuż linji tramwaju i starych murów Seraju czyli Zamku Stambułu, przez główny most Złotego Rogu na Galatę. Na bulwarze nadmorskim obok mostu wstąpiliśmy do restauracji greckiej, odwiedzanej głównie przez marynarzy i bogatych kupców, umeblowanej z komfortem, z oknami na Bosfor. Pod ścianami salonów przy kanapkach pokrytych pluszem pąsowym, szeregi stolików z białego marmuru zastawione były nakryciami z porcelany i flakonami z kryształu. Połowę bufetu zajmowały wielkie misy z blachy pobielanej, ogrzewane zpod spodu, z potrawami gotowemi do wyboru. Był tam pilaf czyli potrawa z baraniny z ryżem, pulardy pieczone z nadzieniem, ryby smażone i gotowane z sosami ostremi, kompoty z pigwy, owoców różnych i t. p. Zajęliśmy miejsce przy oknie z widokiem na morze pełne ożywionego ruchu kaików, szalup żaglowych i wielkich parowców, wpośród gry świateł o zachodzie słońca — jasnego różu i purpury na tle fal drobnych mieniących się szafirem i szmaragdem. Kazałem podać potrawę z ryb z pomidorami i flakon białego wina krajowego Xanti, kompot z owoców mieszanych i czarną kawę. Po kolacji dla wypoczynku na świeżem powietrzu usiedliśmy na ławce nadmorskiej. Przy bulwarze z kamieni ciosowych, młody rybak turek w czerwonym fezie, siedząc w czółnie łowił skumbrje i skorpidje krążące przy brzegu na płytkiej wodzie. Używał w tym celu bardzo oryginalnego sposobu: Na długim sznurku zapuszczał w wodę kamionkę uwiązaną za ucho, ale bez dna. Do korka z haczykiem przymocowany był wewnątrz kawałeczek mięsa na przynętę. Po opuszczeniu kamionki na dno morskie ukosem ryba wsuwała się przez otwór do wnętrza kamionki, którą rybak wyciągał pomału na powierzchnię wody, wydobywał ręką rybę i wrzucał do beczułki, w której pluskały się poprzednio złowione. Połów był obfity a sprzedaż łatwa do restauracji nadbrzeżnych. Po odpoczynku doszliśmy do pobliskiej stacji tramwaju konnego przy Wielkiej ulicy Galaty i wysiedliśmy przy bramie Ogrodu miejskiego, gdzie kończył się

już koncert wieczorny. Po krótkiej przechadzce wróciliśmy do domu. Zasiadłem jeszcze przy biurku do dalszej pracy nad moją Historją powszechną dziennikarstwa. Program jej naszkicowany już w całości, obejmował obszerny Wstęp oraz dwie części.

Część pierwsza, rozdziały następujące:

I. Pogląd ogólny na literaturę perjodyczną.

II. Początki czasopism w starożytności i u chińczyków.

III. Zastój dziennikarstwa w wiekach średnich, zwiastuny przyszłego rozwoju.

IV. Dziennikarstwo nowoczesne i jego statystyka.

V. Rodzaje czasopism i ich klasyfikacja.

VI. Organizacja prasy dziennikarskiej, administracja i technika dziennikarstwa.

VII. Ustawy prasowe, cenzura i wolność prasy.

VIII. Wpływ dziennikarstwa na społeczność i opinja publiczna, ich znaczenie cywilizacyjne.

Dodatki do części pierwszej:

Mapa dziennikarstwa świata graficzno-statystyczna, oraz tabele:

1. Tabela historyczno-statystyczna dziennikarstwa.

2. Tabela statystyczna czasopism globu ziemskiego współczesna.

3. Tabela statystyczna czasopism Ameryki północnej według rodzajów pism.

4. Tabela statystyczna czasopism Ameryki północnej według treści pism.

5. Tabela graficzno - statystyczna rozwoju dziennikarstwa polskiego od roku 1661.

6. Tabela porównawcza stosunku numerów pism do ludności krajów globu.

7. Tabela porównawcza stosunku numerów pism do ludności w wielkich miastach globu.

8. Tabela graficzno-statystyczna rozkładu czasopism w różnych sferach globu ziemskiego.

Część druga historji dziennikarstwa objąć miała Wstęp oraz rozdziały następujące:

I. Dziennikarstwo indo-europejskie: latyńsko-greckie, włoskie, francuskie, hiszpańskie, portugalskie, rumuńskie.

II. Dziennikarstwo germańskie: niemieckie, angielskie, holenderskie, duńskie, szwedzkie.

III. Dziennikarstwo słowiańsko - litewskie: ruskie, polskie, czeskie, serbskie, bółgarskie, litewskie.

IV. Dziennikarstwo indo - kaukazkie: armeńskie, perskie, hinduskie.

V. Dziennikarstwo semickie: hebrajsko-żydowskie, arabskie.

VI. Dziennikarstwo fińsko-mongolskie: fińsko-estońskie, węgierskie, tureckie, chińskie, japońskie, eskimoskie.

Pracując niemal codzień wieczorami, dłużej lub krócej, to główne moje dzieło o historji i rozwoju dziennikarstwa globu posuwałem dość szybko naprzód na podstawie bogatych materjałów ułożonych systematycznie. Celem poprawek i ostatecznego wykończenia każdego rozdziału przepisywałem go zaraz na czysto, aby mieć drugi egzemplarz dla wysyłki pocztą do drukarni, a bruljon w domu dla sprawdzania odbitek korekty.

Carogród wskutek swego położenia geograficznego był ogniskiem świata słowiańskiego. Chcąc być w ciągłej styczności z dziennikarstwem słowiańskiem współczesnem i mieć świeże czasopisma odnośne, założyłem pod nazwą „Slavia" bibljotekę wszechsłowiańską i czytelnię. Po rozesłaniu stosownych okólników i listów — redakcje najważniejszych gazet: bółgarskich, serbskich, słoweńskich, czeskich i ruskich zaczęły mi nadsyłać stale swoje wydawnictwa przez biuro „Poczty ruskiej" na Galacie *).

Po przejrzeniu przez kółko moich bliskich znajomych — dzienniki i czasopisma polskie odsyłałem regularnie do założonej przeze mnie już dawniej Bibljoteki polskiego Towarzystwa dobroczynności, na ręce jego prezesa p. Michałowskiego; czasopisma i gazety słowiańskie przesyłałem stale pod adresem doktora Ihnatowicza, polaka który był ordynatorem Szpitala ruskiego, dla bibljoteki i czytelni tamecznej.

Prócz tego przy Towarzystwach polskich bratniej pomocy i dobroczynności: w Sredcu czyli Sofji, w Belgradzie, Bukareszcie i w Jassach pozakładałem dla tamtejszych kolonji naszych czytelnie, którym przesłałem w darze część książek odpowiednich z mojej bibljoteki.

Ta moja działalność oświatowa i stosunki z redakcjami gazet słowiańskich nie uszła czujnej uwagi policji tajnej tureckiej, która posiadała rozgałęziony system szpiegowski. Podobnie jak głośne łapownictwo urzędników tureckich t. zw. „bakszisz", tak samo i szpiegostwo było gangreną nurtującą strupieszały organizm upadającego Państwa ottomańskiego. W Konstantynopolu zresztą nietylko rządowa policja turecka szpiegowała wszystko i wszystkich. Tam własne sieci szpiegowskie posiadały miejscowe ambasady, poselstwa i konsulaty na swój użytek. Dopomagały im w tym względzie liczne kolonje cudzoziemskie. Głównie zaś niemcy, którzy prawie wszyscy byli tam dobrowolnymi szpiegami na rzecz swej ambasady, konsulatu a nawet

*) Z powodu bardzo nieregularnej i opóźnionej przesyłki listów, gazet i pakietów przez Pocztę turecką rządową (na której większa część korespondencji ginęła, a urzędnicy zaraz na miejscu odklejali i kradli znaczki pocztowe, by je powtórnie sprzedawać, zaś listy prywatne czytali i odsyłali policji tajnej) wielkie państwa europejskie utrzymywały własne biura pocztowe. W Konstantynopolu prócz Poczty ruskiej, były też Poczty: austrjacka, francuska, angielska, niemiecka i in. Korespondencję urzędową ambasad i konsulatów przewozili kurjerzy specjalni.

Berlina. Niemcy podówczas emigrowali tłumnie do Turcji. Pod kierunkiem rządu berlińskiego zakładali tam systematycznie liczne placówki handlowe, przemysłowe i rękodzielnicze, mianowicie na kolejach żelaznych, gdzie nawet w biurach technicznych otrzymywali posady w nagrodę za denuncjacje i szpiegostwo.

Sam sułtan Abdul-Hamid, który nigdy nie był pewny życia i tronu, posiadał również liczną tajną policję własną, złożoną w części z mnichów mahometańskich t. zw. derwiszów, przed którymi naiwna ludność, jako przed duchownymi, mniej była skryta i ostrożna.

Ta gangrena wstrętnych intryg politycznych, przekupstwa, spisków tajnych i szpiegostwa wzajemnego była tu chorobą chroniczną, odwieczną, odziedziczoną po zgniecionym przemocą bizantynizmie. W tem gnojowisku międzynarodowem roiło się jak w mrowisku od żydów miejscowych i polskich, którzy jako psy głodne szukali na gnijącej padlinie zdychającej Turcji żeru cuchnącego. Od czasu do czasu miewałem też wizyty tych judaszów, odgrywających dość niezręcznie rolę ziomków, prześladowanych politycznie wrzekomo przez rząd rosyjski.

Klientela naszego magazynu składała się prócz inteligencji europejskiej i tureckiej, oraz właścicieli wielkich restauracyj, kawiarni i hoteli — przeważnie z bogatych sfer miejscowej arystokracji i dyplomacji, t. j. ambasadorów, konsulów, wyższych urzędników poselstw europejskich i azjatyckich; w części też z duchowieństwa wyższego różnych wyznań, które zakupywało sprzęty różne do kościołów, cerkwi, meczetów i kaplic, jak np.: lampy wiszące, wielkie lichtarze, kandelabry, kielichy i t. p.

Jednego dnia przed południem zajechała przed nasz magazyn świetna kareta, zaprzężona w parę białych klaczy arabskich czystej krwi. Z kozła zeskoczył lokaj w liberji, otworzył drzwiczki karety. Wyszedł z niej młody człowiek, wysoki piękny szatyn, w czarnym surducie i czerwonym fezie, podał rękę takoż ubranemu staruszkowi, który opierając się na lasce trzcinowej z rączką z kości słoniowej, krokiem drobnym podszedł do drzwi magazynu. Lokaj przybyłych roztworzył im jedną połowę naszych drzwi szeroko, drugą nasz służący Hamparzum, który zaanonsował mi wcześniej:

— Monsieur! c'est le vice-roi d'Egypte Izmail-pacha et son fils prince Halil.

Pan Juljan przysunął gościom krzesła, a ja zapytałem po francusku, czem mogę służyć Jego królewskiej Wysokości?

Wice-król nieco przygłuchy trzymał trąbkę słuchową przy uchu i rozglądając się wskazał na piękny serwis do kawy z wielką tacą giloszowaną ozdobnie, wystawioną w oknie frontowem. Hamparzum ustawił na stole tacę, na niej dużą maszynkę parową platerowaną z kloszem szklanym i palnikiem do spirytusu, dzban z pokrywką do kawy czarnej, cukiernicę wy-

złacaną wewnątrz ze szczypcami, dwanaście filiżanek ze spodkami metalowemi i tuzin łyżeczek srebrnych. Książe Halil wstał, obejrzał wszystko zbliska, pochwalił, poprosił o wypisanie rachunku, polecił opakować razem i przysłać nazajutrz rano do pałacu Emirgian nad Bosforem, gdzie mieszkał b. wice-król Egiptu, po ustąpieniu z tronu na rzecz syna swego Tewfika-baszy. Książe Halil poprosił jeszcze o papierośnicę srebrną ozdobną, wyzłacaną wewnątrz. Podałem mu ich kilka. Wybrał jednę grawerowaną pięknie w arabeski i polecił wyryć na niej swój monogram wpośrodku. Zapytałem w jakim guście życzy sobie, wyjął z kieszeni pudełko do zapałek złote wysadzane brylantami z dużym monogramem i prosił, aby taki sam wyryć na papierośnicy. Gdy chciałem przerysować go na papierze, książe dał mi pudełko mówiąc, że spieszy się i że wstąpi odebrać je sam z papierośnicą za parę dni przechodząc. Podał rękę ojcu swemu. Lokaj i nasz Hamparzum roztwarli znów obie połowy drzwi szeroko. Wice-król z synem wsiedli do karety i odjechali szybko na Wielką ulicę Pery.

Nasz służący Hamparzum, armeńczyk inteligentny, który dużo widział, słyszał i wiedział, opowiadał nam potem, że stary wice-król Egiptu Izmail-pasza, rozrzutnik równie wielki jak rozpustnik, miał organizm zrujnowany wszechstronnie. Prócz trąbki czarnej do uszu, nosił binokle złote dla krótkiego wzroku, zęby miał sztuczne, a podniebienie złote, na głowie łysej całkiem perukę, którą zakrywał czerwonym fezem; surdut czarny podwatowany miejscami starannie aby leżał gładko, wreszcie piękną laskę bez której nie mógłby chodzić o własnych siłach. Mieszkał teraz na europejskiem wybrzeżu Bosforu w pałacu Emirgian, który mu sułtan podarował na osłodzenie detronizacji.

Po odjeździe owych „wysokich“ gości, idąc na obiad wstąpiłem do naszego grawera mieszkającego wpobliżu, oddałem mu papierośnicę srebrną i kazałem odbić tuszem na papierze monogram z zapalniczki złotej, którą schowałem starannie w kieszeni, zapowiadając aby robota została wykonana pięknie i oddana nazajutrz niezawodnie z rachunkiem. Książe Halil wstąpił wkrótce odebrać swój sprawunek i zapłacił należność.

Zamówiony serwis do kawy z tacą, opakowany należycie, zaraz nazajutrz rano wysłałem parowcem osobowym przez Hamparzuma z rachunkiem pokwitowanym do Emirgianu. Po przybyciu na miejsce kamerdyner zaprowadził go do kasjera, który po obejrzeniu przesyłki wypłacił należność w monecie złotej, jaką wkrótce przywiózł mi nasz służący w porządku. Hamparzum opowiadał z zachwytem o przepychu pałacu Izmaila-paszy i przecudnym ogrodzie kwiatowym otoczonym wysokiemi murami, osłaniającemi wokoło wnętrze tajemnicze. Stary wice-król Egiptu, zdetronizowany po wojnie anglo-egipskiej, doprowadził jak wiadomo finanse krajowe do ruiny zupełnej przez swą rozrzutność na przepych dworu, budowę pałaców i świetne haremy.

W swoim czasie opowiadano w Warszawie o sukcesach różnych artystów na dworze królewskim w Kairze. Między innemi bawiła tam baletnica warszawskiego Teatru wielkiego, słynna z piękności blondyna złotowłosa, która występowała też na dworze wice-króla Izmaela i została obsypana przezeń klejnotami drogocennemi. Także młody nasz znajomy z lat uniwersyteckich, znakomity skrzypek Władysław Górski, solista orkiestry warszawskiego Teatru wielkiego, zaszczycony został zaproszeniem występu koncertowego przez wice-króla w Kairze, i wrócił ze sporą kiesą złota.

Dnia 1 maja 1887 w piękną słoneczną niedzielę zaraz po południu wybrałem się z Ma do Stambułu, przez główny most pieszo, dla zwiedzenia Starego Zamku czyli Eski-Seraju, dawnej rezydencji sułtanów tureckich, a przedtem cesarzy bizantyńskich. Na wysokiem wzgórzu przylądka Seraju (Serai-burnu) wpośród zieleni bujnych ogrodów i prastarych platanów, piętrzą się tam mury przepysznych pałaców i kiosków rozkosznych, otoczonych z trzech stron wodami Złotego Rogu, Bosforu i morza Marmora.

Od mostu przez ulice przecięte szynami tramwaju doszliśmy do bramy w starych murach otaczających Eski-Seraj od lądu czyli od miasta wpobliżu meczetu Aja-Sofji. W alei środkowei spoczęliśmy na ławie kamiennej w cieniu drzew, naprzeciw pięknego portalu Czinili-kiosku, obejmującego muzeum wykopalisk i starożytności. Nazwa Czinili-kiosku czyli pałacu fajansowego pochodzi stąd, że ściany jego zewnętrzne pokryte były barwnemi płytami fajansu, z których jednak niewiele się dotąd dochowało. Pod gzemsem frontu utrzymał się piękny szlak, na którym girlandy kwiatów wiją się wokół złocistych napisów arabskich. Ów kiosk był jedną z pierwszych budowli wzniesionych w r. 1466 po zdobyciu Konstantynopola przez Mahometa II-go. Architektura cała tego pałacu tchnie jakimś niewypowiedzianym wdziękiem poezji. Nad kilkoma schodami wejścia wznosi się tam rodzaj werandy podpartej lekkimi filarkami. Drzwi ozdobne prowadzą do cichego wnętrza, w którego licznych salach mieszczą się zbiory muzealne. Wstęp jest wolny i bezpłatny. Galerja główna ma kształt krzyża, w którego kątach mieszczą się sale narożne. Pierwsza nalewo od wejścia zajęta jest na kancelarję i gabinet konserwatora czyli kustosza muzeum. Druga naprzeciwko naprawo obejmuje starożytności asyryjskie i kufickie. W sali lewej wgłębi znajduje się piękny zbiór bronzów; w sali prawej naprzeciwko starożytności cypryjskie. W galerji głównej krzyżowej mieszczą się starożytności egipskie, greckie i rzymskie. Muzeum obejmowało podówczas przeszło 600 numerów. Powstało z drobnych zaczątków gromadzonych na dziedzińcu dawnego kościoła św. Ireny na Starym Zamku. Zbiór ten po przeniesieniu do Czinili-kiosku pomnażał się szybko licznemi przesyłkami z prowincji, mianowicie z Azji mniejszej. W r. 1882 muzeum zostało uporządkowane systematycznie i otwarte dla

publiczności. Imponującym jest tam kolosalny posąg Herkulesa cypryjskiego, wysokości 4 metry. Niemniej wspaniałe sarkofagi marmurowe starogreckie i rzymskie, z pięknemi płaskorzeźbami po bokach, oraz kolekcja terrakot. Muzeum konstantynopolskie w porównaniu ze zwiedzanemi przez nas poprzednio wielkiemi muzeami w Wiedniu, Atenach, Rzymie, Paryżu i Londynie, przedstawia się bardzo skromnie, tem niemniej jednak zawiera mnóstwo przedmiotów interesujących.

Po rozpatrzeniu zbiorów Czinili-kiosku odpoczęliśmy znów chwilę w cieniu platanów pobliskich w alei głównej ogrodów Starego Zamku. Wychodząc na wybrzeże morskie przez pustą bramę boczną zwaną Demir-Kapu, spotkaliśmy żołdaka tureckiego, draba bosego, który ostro zażądał bakszyszu czyli łapówki. Wyjąłem z kieszeni bocznej mały portfel, dałem papierosa i pokazałem cztery dziesiątki miedziane, mówiąc:

— Bak dur, hepsi para war! (Patrz, oto wszystkie pieniądze moje).

Dałem mu jeszcze dwie dziesiątki a drugie dwie wziąłem w garść, objaśniając, że mi są niezbędne na zapłatę za przejście przez most ze Stambułu na Galatę. Przyjął drobne, roześmiał się głupowato szczerząc białe zęby i podziękował salutując. Pusto było wokoło, więc korzystając z pomyślnego załatwienia sprawy z owym tureckim rycerzem, pośpieszyliśmy na pobliski dworzec główny kolei żelaznej. Pociąg orient-ekspres odchodził właśnie do Paryża. Mrok zapadał, więc w sali bufetowej rzęsiście oświetlonej kazałem podać kolację złożoną z ryb morskich i wina krajowego greckiego. Po przebyciu przez most Złotego Rogu, dostaliśmy się wkrótce podziemną koleją Tunelu na przedmieście Pera, a stamtąd pieszo do domu. Po herbacie Ma rozpatrywała jeszcze plan Stambułu, położenie topograficzne zabudowań Eski-Seraju, Czinili-Kiosku, i czytała opis jego zbiorów w Przewodniku po Konstantynopolu.

Po wysłaniu sprawozdania miesięcznego za kwiecień do Zarządu fabryki naszej w Warszawie, oddałem zapas gotówki w złocie do banku Crédit Lyonnais na rachunek bieżący. Kasjer banku armeńczyk nie liczył monet złotych lecz przyjmował je na wagę i obliczał na franki. Przy sprzedaży towaru przyjmowaliśmy monety złote przeróżne. Płacono przeważnie frankami, luidorami, napoleondorami, a także odpowiednią monetą złotą frankową: szwajcarską, włoską, grecką, serbską, bółgarską, portugalską, hiszpańską, także funtami tureckiemi lub sterlingami angielskiemi, niekiedy biletami Banku otomańskiego. W srebrze płacono przeważnie medżydjami tureckiemi, oraz bilonem krajowym kwoty drobniejsze. Przy wypłacie pensji personelowi brałem dla siebie po parę monet złotych najpiękniejszych coraz to innych, i z nich składałem sobie na oszczędność mały fundusz zapasowy. W ten sposób zebrałem z czasem kolek-

cję monet złotych rozmaitych, pięknie zachowanych nieznisz- czonych.

Na początku maja przyszło do naszego magazynu trzech duchownych arabów ulemów z Mekki. Byli to dworzanie sułtana Abdul-Hamida, który jako kalif czyli głowa wyznania mahometańskiego otaczał się także wyższymi duchownymi oraz mnichami derwiszami, którymi posługiwał się do wywiadów szpiegowskich, jako swej tajnej policji.

Trzej ulemowie ubrani byli w długie płaszcze arabskie białe, na głowach mieli turbany zielone, byli wszyscy wzrostu wysokiego, z brodami czarnemi długiemi, z różańcami z kości słoniowej w lewem ręku. Bardzo poważni, o ciemnych obliczach brunatnych, o oczach czarnych ognistych, bystrych. Wchodząc pokłonili się zwyczajem wschodnim: przykładając dłoń prawą do czoła, ust i serca. Pozdrowiłem ich po turecku, oddając takiż sam ukłon. Służący podał im krzesła. Oznajmili mi po turecku, że są dworzanami cesarza otomańskiego sułtana Abdul-Hamida, który wiedząc o pięknych wyrobach naszej fabryki i magazynie bogato zaopatrzonym, polecił im zakupić piękny serwis do herbaty, złożony: z wielkiej tacy ozdobnej, dużego samowara z czajnikiem, cukiernicy srebrnej wyzłacanej wewnątrz ze szczypczykami, 12 łyżeczek srebrnych, 12 spodków metalowych i tuzin szklanek kryształowych rzniętych. Pomocnik mój i służący wybrali zaraz przedmioty żądane co najświetniejsze i ustawili na największej tacy giloszowanej w piękne arabeski. Cały serwis przedstawiał się bardzo elegancko i okazale. Dworzanie pochwalili go z zadowoleniem, powtarzając:

— Czok gizel hepsi! czok gizel! (Bardzo piękne wszystko! bardzo piękne!).

Przytem objaśnili, że ma to być dar cesarski od sułtana dla kapitana ruskiego, który płynąc na swoim parowcu, wyratował całą załogę kilkunastu ludzi żaglowca tureckiego, jaki pędzony wichrem gwałtownym rozbił się o skały nadbrzeżne przy wejściu z Morza czarnego do Bosforu. Sułtan wyznaczył już dzień audjencji uroczystej dla owego kapitana celem wręczenia mu owego daru pamiątkowego ze stosownem pismem dziękczynnem. Wypisałem rachunek pokwitowany na cały serwis. Starszy ulema zapłacił zaraz należność złotem w funtach tureckich. Służący nasz opakował wszystko starannie i duży pakiet zaniósł do powozu dworskiego. Ulemowie pożegnali nas uprzejmie pokłonem wschodnim, a ja odprowadziłem ich do głównych drzwi magazynu z moim pomocnikiem dziękując i polecając się łaskawej pamięci.

Po całym szeregu klientów pomniejszych, w kilka dni później zajechała przed nasz magazyn kareta, z której wysiadła otyła jejmość, z twarzą czerwoną o grubych rysach pospolitych, ubrana pretensjonalnie, oraz podobna do niej panna tłusta blondynka niezgrabna. Służący nasz z uśmiechem ironicznym obja-

śnił mię, że to hrabina Radowitz, żona ambasadora niemieckiego z córką. Matka zasiadła ciężko sapiąc na krześle, a córunia poprostu na stole z całą nonszalancją, spuściwszy swobodnie obie nogi o stopach dużych typowej niemki. Zapytałem tych pań po francusku co sobie życzą. Zażądano wazki platerowanej z pokrywką i talerzem do umieszczenia porcji mięsa na śniadanie. Z kilku ustawionych na stole wybrano jednę wazkę gładką najtańszą. Córka wyjęła z torebki złoty funt turecki, i jakby umyślnie upuściła go na podłogę pod swoje nogi. Kazałem służącemu podać mi monetę, wydałem resztę. Służący zrobił paczkę z pętlicą ze szpagatu, a obie damy, zabrawszy sprawunek wtłoczyły się do karety i odjechały.

W kilka minut potem, jakby dla kontrastu z otyłemi niemkami o twarzach burakowych, weszła do naszego magazynu młoda panna wysmukła, pełna wdzięku brunetka niezwykłej piękności, lat około 20, ubrana wytwornie w lekkim kostiumie wiosennym z jedwabiu bladolila, w kapelusiku tegoż koloru z przepysznem piórem strusiem śnieżnobiałem. Poprosiła po francusku o ładny serwis do kawy czarnej. Wystawiliśmy kilka serwisów różnych fasonów, gładkich i ozdobnych z tacami odpowiedniemi. Wybrała jeden z nich najpiękniejszy, poprosiła o notę, zapłaciła należność złotem rumuńskiem, i podała mi mały bilet damski z adresem, prosząc aby wkrótce odesłać pakiet do pałacu poselstwa rumuńskiego na Pera. Na bilecie z koroną książęcą wyczytałem nazwisko pięknej damy: „Princesse Amalie Ghika“.

Służący nasz opakował zaraz cały serwis, i wręczył go portjerowi pałacu poselstwa, za pokwitowaniem na kartce gotowej do podpisu.

Przechodząc z komory celnej Mum-Hane przez Wielką ulicę Galaty, zauważyłem skromny stary szyld z napisem ruskim nad sklepem spożywczo-kolonjalnym dość niepozornym. Wszedłem tam i ujrzałem skład obficie zaopatrzony w towar doborowy. Między innemi w piękne wędliny, sery owcze, winogrona krymskie i kaukaskie, ryby ruskie, wśród których leżał też duży bochen chleba razowego żołnierskiego. Kazałem go rozkroić na połowę; był wybornie wypieczony i pachniał świeżością. Kupiec armeńczyk mówiący biegle po rusku, objaśnił mię, że razowiec ten otrzymuje co tydzień świeży parowcem wprost z Sebastopola, gdzie wyrabiają go w olbrzymich piekarniach wojskowych, mogących dostarczyć dziennie po kilkadziesiąt tysięcy bochenków dla całej armji. Zamówiłem też dla siebie co tydzień jeden bochenek. Prócz tego wziąłem funt szynki w pęcherzu, serek owczy i butelkę wina białego krymskiego bardzo tanią. Zabrałem pakiet i pojechałem tramwajem do domu na obiad, aby o zwykłej godzinie wrócić do magazynu, zluzować mego pomocnika.

Niektóre inne produkty kupowałem także w wielkim składzie spożywczo-kolonjalnym Stowarzyszenia ekonomicznego angielskiego, wpobliżu mego mieszkania. Mieli tam, prócz wybornej kawy arabskiej i herbaty chińskiej, także doskonały porter butelkowy, prawdziwy Stout (mocny) pysznie musujący i orzeźwiający, bardzo tani, bo sprowadzany drogą morską wprost z Londynu z wielkich browarów. Mieli też dobre sery Chester i holenderskie, znakomite śledzie królewskie w pudłach blaszanych hermentycznych i sardynki, oraz wędliny przeróżne.

Wpobliżu naszego magazynu za Placem tunelu przy Wielkiej ulicy Pery był duży skład mięsa z szyldem złocistym „Boucherie française", gdzie na białych stołach marmurowych leżały gotowe sznycle i kotlety cielęce, bifsteki z wołów ukraińskich. Na ścianach z terrakoty białej na hakach wisiały potężne ćwiartki i całe polędwice. Tęgi atletyczny francuz w białym fartuchu i birecie na głowie, rąbał, krajał, ważył mięso bardzo zręcznie i zawijał w papier biały gruby. Przy kasie szczupły brunet spólnik tamtego przyjmował pieniądze uprzejmie dziękując. W sklepie tureckim obok mego mieszkania brałem wyborną baraninę, gotowe kotlety i jagnięcinę bardzo smaczną, kruchą i delikatną jak sarnina.

Na obiad, jak zwykle, nie jadaliśmy żadnych rosołów ani zup, tylko na talerzach białych emaljowanych na maśle medjolańskiem lub polskiem z Adampola smażone naprędce na maszynce naftowej o dwóch dużych płomieniach: sznycle, kotlety lub bifsteki angielskie napół surowe, a potem wyborne kompoty z owoców sezonowych i kawę czarną na deser. Na kolację, prócz zwykłej herbaty, miewaliśmy czasem mleko zsiadłe, albo żurek polski czysty z kminkiem, barszcz burakowy czerwony, kiszony w domu, z ziemniakami, śledzie królewskie i mnóstwo owoców oraz winogron tureckich.

Naprzeciwko naszego magazynu obok dworca kolei Tunelu był duży skład herbaty, założony świeżo przez chińczyków rodowitych w ubiorach narodowych. Był tam zarazem bogaty skład porcelany chińskiej: czajniki, puszki do herbaty i cukru, filiżanki, czarki i przeróżne wazony do kwiatów, przepysznie zdobione i malowane bardzo oryginalnie. Kupiłem tam dla Ma parę prześlicznych wazoników bukietowych, zdobionych stylowo gałązkami herbaty kwitnącej, na tle bladozielonem. Ma bardzo lubiła zawsze kwiaty. Na naszych oknach słonecznych chodowała je w licznych doniczkach, przeważnie róże w rozmaitych kolorach. Prócz tego przynosiłem jej kwiaty cięte, rozwożone codzień przez kwiaciarzy ulicznych i bardzo tanie.

W niedzielę 8 maja 1887 r. Ma wróciła wcześnie z kościoła P. Marji przy Wielkiej ulicy Pery, gdzie zwykle chodziła na mszę, i gdzie odbywały się uroczystości narodowe polskie. Zaraz po wczesnym obiedzie wybraliśmy się na nową wycieczkę na nasze wybrzeże Bosforu koleją podziemną Tunelu. Idąc Wielką ulicą

Galaty minęliśmy nadmorski Arsenał artylerji t. zw. Top-Hane (top po turecku znaczy działo, hane skład cz. magazyn). Dalej przez Wielką ulicę przedmieścia Fundukli doszliśmy do wspaniałego pałacu sułtańskiego Dolma-Bagcze. Minąwszy główną bramę naprzeciw małego meczetu, stanęliśmy na bulwarze nadmorskim z ciosowych płyt, i na marmurowych białych schodach pałacu zrobiliśmy mały odpoczynek. Zacisznie tu było, ciepło i słonecznie, całkiem pusto. Ma rozwinęła pakiet z winogronami na podwieczorek, a ja wyjąłem świeże gazety dla przejrzenia ostatnich nowin. Przez nadmorskie sztachety pałacu wyglądały zalotnie gałązki bluszczu oplatające ciemne cyprysy. Po drugiej stronie w małym wirydarzu zieleniły się piękne krzewy bukszpanu. Tuż za niemi stała szeregiem baterja armat nakrytych plandekami nieprzemakalnemi. W uroczyste święta mahometańskie Bajramu w miesiącu Ramazan dają tu liczne salwy działowe, podobnie jak z wielu innych dalszych bateryj nadbosforskich.

Pałac Dolma-Bagcze, złożony z kilku świetnych pawilonów z białego marmuru, otoczony od strony morza sztachetami żelaznemi o złocistych pikach, od strony ulicy wysokim murem, zbudowany został w roku 1853 przez sułtana Abd-ul-Medżida i urządzony wewnątrz z przepychem nadzwyczajnym. Wielkie sale o plafonach malowanych artystycznie, zdobią ogromne zwierciadła, żyrandole kryształowe i doborowy zbiór obrazów, przeważnie malarzy francuskich. Później od r. 1861 zamieszkiwał tam następny sułtan Abd-ul-Azis, który w roku 1876 został stamtąd nagle porwany 18 maja i przeniesiony wraz z całym haremem do pobliskiego pałacu Cziragan, gdzie zmarł nagle tragiczną śmiercią. Od owego czasu pałac Dolma-Bagcze przestał być rezydencją sułtanów. W czasie naszego pobytu zamieszkiwał tam stryj panującego sułtana Abdul-Hamida Reszyd-pasza, ze swoim dworem i haremem. Kilkanaście fortepianów i pianin w licznych salonach pałacu stroił tam stale nasz znajomy polak Grabowski emigrant, (młodszy brat Grabowskiego organisty w Kielcach, który w gimnazjum kieleckiem, gdy tam uczęszczałem, nauczał śpiewu chóralnego). Nasz znajomy emigrant, który utrzymywał się ze strojenia fortepianów, miewał tam spory zarobek, i odwiedzał mię czasem w magazynie. Opowiadał, że niektóre młode damy w pałacu Bolma-Bagcze brały lekcje gry na fortepianie od starego nauczyciela muzyki.

Po wypoczynku na terasie pałacu Dolma-Bagcze, wyruszyliśmy dalej wzdłuż linji tramwaju główną ulicą przedmieścia Besziktasz, i przybyliśmy wkrótce do ponurych murów sułtańskiego pałacu Cziragan. Wspaniały ten gmach cały z ciemnego marmuru, zbudowany został przez sułtana Abd-ul-Azisa, który jak to już wspomniałem zginął tam tragiczną śmiercią 18 maja 1876 roku. Po nim wstąpił na tron sułtan Murad V. Ten jednak panował krótko, bo kilka miesięcy tylko, od maja do sierpnia

1876 roku. Wskutek bowiem intryg dworskich, ogłoszony za obłąkanego, został strącony z tronu, na który wstąpił zaraz brat jego, despota i tyran, zwany małym Neronem. On brata swego Murada uwięził w pałacu Cziragan i trzymał pod silną strażą. Przy głównej bramie dzień i noc kilku agentów policji tajnej czuwało pilnie i baczyło na wszystko wzdłuż wysokich murów od strony ulicy. Bulwar nadmorski pałacu strzeżony był również ściśle. Nad bramą główną ponad wąską ulicą most kamienny prowadził bezpośrednio do części dolnej wielkiego parku Ildiz-Kiosku, w którym rezydował podówczas sułtan Abdul-Hamid. Zwiedzanie Cziraganu wewnątrz było podówczas całkiem niedopuszczalne. Ci, którzy oglądali go dawniej, opowiadają o wspaniałem urządzeniu wielkich sal, zdobnych w piękne kolumnady i umeblowanych na sposób orjentalny. Nie zatrzymując się tu wcale, minęliśmy wkrótce wysokie mury dolne parku Ildiz-Kiosku i przybyliśmy na słoneczny bulwar nadmorski pięknego meczetu Ortakiej o dwóch wysmukłych minaretach nad wyniosłą kopułą. Dozorca meczetu, mieszkający tuż obok, podał nam na podwieczorek wyborne kasztany pieczone i czarną kawę zrobioną na poczekaniu „à la turca".

Wkrótce potem przybił do przystani miejscowej ostatni wieczorny parowiec przybrzeżny Bosforu napełniony pasażerami. Kupiłem dwa bilety i weszliśmy pośpiesznie na pokład. Zachód słońca był pogodny. W jego odblaskach czarownych, płynąc wzdłuż wybrzeży pałaców Cziraganu i Dolma-Bagcze, mogliśmy podziwiać ich wspaniałe fasady frontowe, kolumnady pełne harmonji, lekkie balkony i bogatą ornamentację.

Parowiec nasz przystanął chwilowo przy debarkaderach przedmieść Besziktasz i Kabatasz czyli Fundukli, minął wielki arsenał Top-hane, i przybił do głównej przystani przy pierwszym moście Złotego Rogu. Przez Wielką ulicę koleją Tunelu dostaliśmy się wkrótce do domu. Po herbacie Ma rozpatrywała pilnie na dużym planie miasta szczegóły naszej wycieczki, a ja przy biurku wykończałem tom I-szy mojej Historji Dziennikarstwa i porządkowałem dalsze jej materjały.

W pierwszych dniach tygodnia następnego odwiedził mię w naszym magazynie znajomy fortepianista Grabowski. Wkrótce po nim wszedł generał turecki, w średnim wieku, z ciemną brodą krótko przystrzyżoną, w fezie czerwonym na głowie, W paradnym mundurze granatowym z sutemi buljonami złotemi na piersiach, z szerokim lampasem czerwonym u spodni i szablą przypiętą krótko przy lewym boku. Kłaniając się po wojskowemu, poprosił po polsku o pokazanie mu sztućców srebrnych oraz „dżadka do orżechów". Kupił ów dziadek posrebrzany, zapłacił, a na odchodnem podał mi swój bilet wizytowy i zaprezentował się jako Freund-pasza. Ja nawzajem podając mu rękę powiedziałem swoje nazwisko i zwykły komplement: że miło mi poznać tak znakomitego ziomka. Po jego

odejściu przedewszystkiem zauważyłem na bilecie wizytowym elegancko litografowanym po francusku, napis: „Freund-Pacha Mouchir de l'Armée de Sa Majesté imperiale le Sultan de Turquie". Pan Grabowski objaśnił, że muszir czyli marszałek jestto najwyższy stopień generalski w wojsku tureckiem i opowiedział mi ciekawą historję, w jaki sposób uzyskał go nasz dziwny znajomy:

Podczas powstania polskiego 1863 r. był on w Częstochowie młodym żydkiem Freundem. Trudnił się wielce niebezpiecznem przemycaniem przez granicę pruską broni dla powstańców. Przyłapany wreszcie, wykręcił się zręcznie od szubienicy i został wysłany na Sybir. Stamtąd uciekł szczęśliwie. Przez Turkiestan, Persję, Turcję dostał się do Austrji. Tu, przy pomocy swych krewnych, wstąpił jako ochotnik do wojska i wkrótce został oficerem. Przed wojną Rosji z Turcją w r. 1878, zwolniwszy się wstąpił do armji tureckiej jako biegły instruktor z wysoką gażą. Podczas wojny w licznych potyczkach przednich straży bił zawzięcie kozaków, mszcząc się za baty od nich odebrane na etapach syberyjskich. Zagarniał tabory kozackie z furażem i żywnością gdzie się tylko dało. Wkońcu tak sprytnie przedstawiał swoje sukcesy, że awansował na pułkownika, a później na generała. Na dostawach intendentury robił grube afery, a przez zręczną grę w karty i łapówki czyli zwykłe w Turcji bakszisze, uzyskał wysoki tytuł marszałka armji Jego cesarskiej mości Sułtana tureckiego. W ten sposób za strach, którego się najadł pod szubienicą moskiewską i za cięgi katorgi, pomścił się na kozakach i na ich karkach wspiął się na wysoki stopień generalski.

W parę dni po tej dziwacznej wizycie u nas owego karjerowicza żydowskiego generała-marszałka Freund-paszy, rozeszła się wsród kolonji polskiej miejscowej wieść o zgonie generał-dyktatora polskiego powstania styczniowego 1863 r. Langiewicza. Pogrzeb ostentacyjny wyprawiła mu jego żona bogata angielka, której był już czwartym mężem zkolei. Były dyktator pochowany został na przepięknym cmentarzu anglikańskim, na azjatyckim wyniosłym brzegu Bosforu w pobliżu dworca Hajdar-Pasza naprzeciwko Starego Zamku Stambułu czyli przylądka Seraj-burnu. Na cmentarzu owym, z którego wyniosłości roztacza się wspaniały widok na Stambuł, Złoty róg i morze Marmora, wznosi się wpośrodku olbrzymi obelisk z szarego marmuru, postawiony na mogile żołnierzy angielskich poległych podczas wojny krymskiej w 1854 r. Na pogrzebie generała Langiewicza, z powodu nieporozumień formalnych i nieotrzymania zaproszenia ze strony rodziny zmarłego Polskie Towarzystwo bratniej pomocy nie wystąpiło oficjalnie i gremjalnie ze swoim sztandarem narodowym, lecz tylko prywatnie i luźnie jego członkowie wzięli udział w żałobnej uroczystości.

Langiewicz Marjan Melchjor urodził się 5-go sierpnia 1827 r. w Krotoszynie w Poznańskiem, zmarł 12 maja 1887 w Konstantynopolu. Uczył się początkowo w domu, od września 1836 r. do 1844 w szkole powiatowej w Krotoszynie, we wrześniu 1844 r. wstąpił do gimnazjum w Trzemesznie; ukończywszy je w r. 1848 udał się na uniwersytet do Wrocławia na wydział filologiczny. W tym samym roku jedzie do Pragi czeskiej, gdzie jest obecny na wielkim zjeździe słowiańskim, zapoznaje się bliżej z Bakuninem, studjuje literatury słowiańskie Czelakowskiego. Zaznajomiwszy się z Mierosławskim, pod koniec r. 1848 wraca do Wrocławia. Ale niebawem z powodu braku środków przerywa studja i zostaje nauczycielem domowym na wsi. Po dwu latach wraca na uniwersytet wrocławski, a stamtąd udaje się do Berlina na studja matematyczne. W Berlinie wstępuje do wojska jako jednoroczny ochotnik do pułku artylerji gwardji. Podczas mobilizacji Prus w r. 1859 pełni funkcje porucznika. Po demobilizacji w jesieni tegoż roku wraca do Berlina i z zapałem oddaje się strategji oraz wyższej matematyce. W początku r. 1860 przybywa do Paryża, poczem obejmuje nakrótko posadę nauczyciela matematyki i artylerji na kursach wojskowych Mierosławskiego. W tymże roku należy do słynnej wyprawy Garibaldiego, która wylądowała pod Marsalą, i odbywa całą kampanję neapolitańską przy boku garibaldczyka Milbitza do kapitulacji Gaety. W obu odznacza się męstwem i wytrwałością. Po wyprawie włoskiej znów był nauczycielem najwpierwej w Genui, następnie w Cuneo. Wkrótce jednakże poróżnił się z Mierosławskim i wyjechał do Paryża.

W końcu r. 1862 zawiązał stosunki z Komitetem centralnym w Warszawie, i ofiarował mu swe usługi. Przybył tajemnie do kraju, mianowany pułkownikiem i naczelnikiem sił zbrojnych województwa sandomierskiego. Czynnie zajął się organizacją sił na dzień wybuchu powstania 22-go stycznia 1863 r. W tym dniu w nocy na czele szczupłego oddziału śmiałym atakiem wyparował oddział wojska rosyjskiego z Bodzentyna; zająwszy następnie Suchedniów i Wąchock, założył w tych miejscowościach trzy obozy, w których zamierzał zebrać i wyćwiczyć większe siły. Wąchock stał się głównem ogniskiem powstania w Sandomierskiem. Langiewicz po licznych potyczkach przemarszach i starciach z wojskami rosyjskiemi, wysyłanemi przeciw niemu głównie z Kielc pod wodzą generała Czengerego, po bitwie pod Staszowem cofnął się pod Małogoszcz gdzie 21-go lutego rozłożył się obozem, a nazajutrz połączył się z oddziałem Jeziorańskiego, przez co siły ich wzrosły do 2000 ludzi. Mimo to i tu powstańcy pod krwawym naporem przeważających sił generała Czengierego musieli się cofnąć ze znacznemi stratami. Odwrót był tak szybki, że już tegoż samego dnia powstańcy stanęli na nocleg w rejowskich Nagłowicach. Do Pieskowej Skały dotarło zaledwie 1000 ludzi, gdzie ich 4-go marca zaskoczył książe Szachowskij

że znacznemi siłami. Langiewicz cofając się stoczył krwawą walkę, ale około 300 ludzi w części dostało się do niewoli, a w części zginęło w płomieniach Zamku, który zgorzał i poszedł w zupełną ruinę.

(Niedługo potem, po ukończeniu gimnazjum w Kielcach, podczas wycieczki do Ojcowa oglądałem te smutne i puste zczerniałe mury niedawno tak świetnie urządzonej przez hr. Mieroszewskiego magnackiej rezydencji, a po wsiach pobliskich u włościan spotykałem pojedyncze tomy książek bogato oprawnych ze złoconemi tytułami, zrabowane podczas pożaru Zamku Pieskowej Skały przez moskali, poczem oddawane za kieliszek gorzałki).

Wkrótce potem Langiewicz, uchodząc przez Ojców z resztkami oddziału swego, skierował się na wschód i 6 marca stanął obozem w Goszczy pod Słomnikami o kilka mil od Krakowa. Do obozu zaczęła znów napływać młodzież z Galicji, gromadzono zapasy broni, amunicji, żywności i oddział wzrósł do 3000 ludzi, podzielony na kilka kompanji piechoty, kawalerji i t. zw. żuawów, któremi dowodził francuski oficer Rochebrun. W Warszawie zbierano składki na „szablę honorową" dla Langiewicza, a dzienniki polskie i zagraniczne głosiły jego chwałę jako największego wodza powstańców. Wówczas to partja Białych z Wielkopolski i Krakowa podsunęła Langiewiczowi myśl podjęcia dyktatury. Samozwaństwo niejakiego Ad. hrabiego Grabowskiego, wrzekomego komisarza Rządu narodowego, niebaczne słowa Jeziorańskiego o potrzebie dyktatury, wreszcie tajne roboty Mierosławszczyków w samym obozie Langiewicza grożące mu wydarciem władzy, wszystko to przy braku stanowczości i rzeczywistego wyrobienia politycznego w samym wodzu, złożyło się na ogłoszenie w dniu 11-go marca (proklamacja drukowana w Krakowie nosi datę 10-go marca) w Goszczy „dyktatury" Langiewicza. Stało się to, wbrew kłamliwym zapewnieniom Grabowskiego, bez wiedzy rządu warszawskiego, który zresztą podówczas był już napół zdezorganizowany, ale bez śladu samowoli i gwałtu ze strony niespodziewanego dyktatora. A nawet na mocy niewyraźnej uchwały powziętej dnia 9-go marca w obozie na naradzie obywateli z Krakowa przybyłych z wyższymi oficerami Langiewicza w jego obecności. Jeżeli reakcja krakowska w przymierzu z tą jaką mógł wyobrażać Grabowski przybyły z Królestwa i stale w niem zamieszkały, chciała dyktaturą stłumić powstanie, to mogła liczyć na późniejsze dopiero opanowanie człowieka mało wyćwiczonego w intrygach politycznych. W samej chwili działania stał on poza podejrzeniem o tajemną zmowę. Skrytych dążności nie odgadywał, był względem idei powstania zupełnie czysty. Istotną pobudkę mogła dać próżność, mogło dać mgliste widzenie spotęgowanego uroku władzy, a stąd i większej ufności i skwapliwosci w garnięciu się do powstania, większych wreszcie dla niego ofiar, tak w służbie

osobistej jak i w środkach do walki. Chociaż świeży przykład Mierosławskiego nakazywał raczej obawiać się odstraszającego wpływu nowej formy rządu na opinję patrjotyczną narodu. Zwierzenie się Langiewicza Gillerowi i Józefowi Janowskiemu (wówczas sekretarzowi stanu i członkowi Rządu narodowego) w więzieniu tarnowskiem, zapisane w tomie I-szym str. 280 „Powstania narodu polskiego 1863-4", jako bezpośrednią głębszą więc realniejszą od innych pobudkę psychologiczną, wskazuje strach przed Mierosławskim, ku któremu Langiewicz pałał żywą niechęcią jeszcze z czasów genueńskich. Mianowicie na zapytanie Gillera: Co go skłoniło do wzięcia dyktatury? odpowiedział: „Gdybym 10-go nie ogłosił się dyktatorem — 11-go zostałby nim w mym obozie Mierosławski". Rząd tymczasowy nie mając lepszych widoków, i czując małą wówczas swą siłę, nie chcąc rozdwojenia, a chroniąc się od podejrzeń o ambitne trzymanie władzy w swych rękach, uznawał dyktaturę. Pragnął tylko przy niej ustanowić władzę wykonawczą, i chętnie poddawał ją i własne swe osoby pod dyktatorskie rozkazy. Obóz Langiewicza, jako największy przyciągał władzę naczelną powstania, pragnącą się ujawnić. Dwaj członkowie Rządu tymczasowego Aweyde i Majkowski już po ucieczce z bitwy pod Nową Wsią (23-go lutego) skierowali się w Krakowskie, aby stanąć w głównem ognisku powstania. Działo się to jeszcze przed dyktaturą. Dnia 12 marca zamianował Langiewicz Rząd cywilny poddany jego zwierzchniej woli, prawnie zatem stawał się pełnym dyktatorem.

O jego życiu obozowem w Goszczy liczne są współczesne opowiadania: Jeździł zazwyczaj na wysokim koniu, otoczony świetnym sztabem, wpośród którego najwięcej wyróżniała się Henryka Pustowojtow. Sam dyktator był wzrostu niewielkiego, barczysty, głos miał cichy, usposobienie łagodne. Zgromadziwszy swe oddziały, które razem liczyły do 3000 ludzi nieźle wyćwiczonych, a poza kosynierami prawie całkowicie uzbrojonych w strzelby, częścią nawet w sztucery i karabiny, dnia 11-go marca wyruszył Langiewicz w kierunku południowo-wschodnim przez błotnistą bezleśną dolinę Nidy. Jednocześnie z Radomia śpieszył ku niemu ze znacznemi siłami generał Czengiery. Po okólnych przemarszach podążył Langiewicz do Chrobrza, rezydencji ordynackiej margrabiego Wielopolskiego nad Nidę. Tu 17-go marca zaatakowany przez rosjan zmuszony był do odwrotu, podczas którego dowodzący awangardą Rochebrun odpierał natarcia rosyjskie, wreszcie tegoż dnia rozłożył się obozem w lasach grochowiskich o 3 kilometry od Buska. Nazajutrz 18-go toczyły się krwawe walki. Langiewicz w niepewności położenia, przewidując nadciągnięcie większych posiłków rosjan, którzy w 12000 ludzi z silną artylerją nadchodziły, posunął się w nocy o 5 kilometrów dalej na południe od Buska do Wołcza. Tu złożył radę wojenną, na której postanowiono rozdzielić siły, a sam Langiewicz miał przenieść siłę za Wisłę w Lubelskie, i przemy-

kać się do zbierających się obozów, w celu organizowania ich i podnoszenia upadłego w nich ducha. Miano odtąd prowadzić walkę ściśle partyzancką.

Dnia 19-go marca 1863 roku o godzinie 5-ej z rana dyktator z eskortą 30 ułanów puścił się ku Wiśle lecz na południe. Dopiero w ciągu dnia ukazał się rozkaz dzienny, który zdemoralizował całkiem szeregi, wywołał szemranie, gniew i oburzenie...

W rozkazie tym Langiewicz ogłosił: „Obowiązki moje jako dyktatora zmuszają mię zwrócić uwagę na rozmaite sprawy cywilne i wojskowe, na reorganizację liczniejszych oddziałów w innych częściach kraju".

Dla tego właśnie Langiewicz opuszcza szeregi towarzyszy, z któremi walczył od pierwszej nocy powstania — cel zaś wymaga tajemnicy! Po pierwszym wrażeniu ogólny popłoch ogarnął pozostałe oddziały powstańców. Rzuciły się zaraz tłumnie do ucieczki, ścigane przez rosjan zajadle. Sniechowski z kilkuset ludźmi zniknął nagle tegoż dnia z obozu; rozproszyły się oddziały Jeziorańskiego i Waligórskiego, którzy skierowali się także do Galicji. Mnóstwo powstańców przy przeprawie przez Wisłę pod Opatowcem i Koszycami potonęło. Mała zaś część przedostawszy się na drugą stronę rzeki została rozbrojona przez rozstawione tam wojska austrjackie. Podobny los spotkał i samego dyktatora z jego adjutantem panną Pustowojtow. Langiewicz wziął paszport „generała" Waligórskiego, który posiadał ten dokument formalny ale wspólny z synem; jako najmłodziej wyglądającego oficerka wybrano więc Pustowojtównę, która tym sposobem znalazłszy się z Langiewiczem w Galicji została z nim razem zaaresztowana. Osadzono ich w więzieniu najprzód w Tarnowie potem w Krakowie, gdzie Pustowojtównę uwolniono. Dyktatora zaś przeniesiono do twierdzy morawskiej Iglawy, a wreszcie w dniu 21-go kwietnia osadzono w Josephstadzie.

Nastrój moralny wogóle podówczas, wobec niewyjaśnionych pragmatycznie wypadków, był ciężki i złowrogi w kraju doprowadzonym przez całe powstanie do zupełnej ruiny politycznej i ekonomicznej.

Langiewicz dopiero pod koniec lutego 1865 r. odzyskał wolność. Po opuszczeniu więzienia wyjechał nakrótko do Londynu, gdzie wszedł do koła zebranych tam z całej Europy malkontentów, wśród których rej wodzili: Mazzini, Ledru-Rollin i Ludwik Blanc. Blind, działacz austrjacki z r. 1848, poznał tam Langiewicza i taką jego podaje sylwetkę: mały, chudy, z twarzą energiczną; o powstaniu rozmawiał jedynie z tym, z kim był bliżej. Usposobienie miał ponure. Będąc wieczorem u irlandczyka Józefa Snowe nagle zniknął, nie pożegnawszy się z nikim. W kwestji Wschodniej zgadzał się z Mazzinim. Twierdził, że przedewszystkiem należy osłabić potęgę Rosji. Blind dodaje, że po r. 1875 Langiewicz znów gościł w Londynie. Później włoscy,

francuscy i angielscy przyjaciele stracili już jego ślad. Po pierwszym krótkim pobycie nad Tamizą, osiadł w kantonie Solury w Szwajcarji, i otrzymał prawo obywatelstwa. W Szwajcarji ożenił się z panną Bauer kuzynką żony Władysława Platera, Karoliny B. Małżonkowie pozostawali w wielkiej biedzie.

W roku 1867 przeniósł się Langiewicz z żoną do Turcji, gdzie przybrał nazwisko Langier-Bey, ale i tu czekał go gorzki chleb emigrancki. Miewał zajęcie przeważnie przy zarządach kolejowych. Wreszcie udało mu się pozyskać podrzędne stanowisko w artylerji tureckiej, wkrótce jednak porzucił je, bo żołd płacono licho i nieregularnie. W tych czasach głównem źródłem utrzymania Langiewiczów była pomoc jaką im udzielał mój wuj pułkownik artylerji tureckiej Władysław Jordan.

W roku 1877 został Langiewicz reprezentantem słynnej fabryki broni Kruppa w Essen, i odtąd zaopatrywał armję turecką w działa i inne materjały wojenne z tej fabryki. Stosunki jego materjalne polepszyły się. Wtedy już nie żyła jego żona, niedoli wierna towarzyszka, po której pozostał syn Tadeusz oficer austrjacki. Langiewicz zawsze był miłośnikiem koni. Kiedy mu się zaczęło lepiej powodzić w Turcji, urządził sobie stadninę i zajął się hodowlą rasy arabskiej. Z jego stajni wychodziły paradjery dla sułtana i innych monarchów europejskich.

W r. 1873 ożenił się powtórnie z angielką Berry, która w nim straciła czwartego męża. Zebrawszy w Turcji pewien kapitał, zamierzał przenieść się do Galicji osiąść w powiecie sądeckim. W tym celu jeszcze w r. 1887 nakrótko przed śmiercią bawił w Galicji i Wiedniu. Umarł nagle zachorowawszy na zapalenie płuc.

Mimo zawiedzionych tylu nadziei, do jakich Langiewicz swą blisko dwumiesięczną kampanją uprawniał, mimo oczywistego błędu politycznego jakim było przyjęcie dyktatury, mimo niewyjaśnionego zejścia z widowni — nazwisko Langiewicza wypełniło jednę z najwybitniejszych kart historji naszej w okresie walk o niepodległość. A chociaż mocą duszy i zdolnościami umysłu wódz ten nie stał na wysokości zadania, chociaż sprawie narodowej nie poświęcił się cały, to jednak bez wahania się wobec ciężkich warunków w jakich wybuchło powstanie polskie 1863 roku, a może i bez nadziei, ze szczerem sercem walczył za Ojczyznę!

Prasa miejscowa w Konstantynopolu poświęciła zmarłemu wodzowi polskiemu sympatyczne wspomnienia.

W niedzielę następną 15 maja 1887 r. po południu udałem się z Ma na północ przedmieścia Pery, na ulicę Jeni-Szeri, dla zwiedzenie domu z tablicą pamiątkową po Adamie Mickiewiczu. Dom ów murowany dwupiętrowy, będący podówczas własnością pani Ratyńskiej, zbudowany został na pogorzelisku domu starego, który stał się pastwą płomieni w r. 1871. W owym starym domu w r. 1855 zamieszkiwał kilka miesięcy Mickiewicz. Tablica

marmurowa, umieszczona ponad drzwiami nowego domu nosi napis: „Na pamiątkę postawiony ten dom na tem miejscu gdzie 26 listopada 1855 umarł A. Mickiewicz. En cette place mourut le 26 novembre 1855 Adam Mickiewicz Poëte Polonais".

Po jego zgonie Zenon Fisz Padalica zwiedzał stary dom i pokój w którym zmarł wielki poeta, i tak o tem pisze: „Zwiedziłem ten dom smutny samotny i widziałem ową dużą izbę o jednem oknie kwadratowem, w której mieszkał Adam. Przedsień prowadziła do niej, a umeblowanie składało się ze stołu, kilku krzeseł prostych i łóżka, co jeszcze prostsze, pokryte siennikiem i dywanem tureckim stało w kącie. Pokój tchnął pustkowiem, był ciemny a nawet wilgotny".

Tam to, w otoczeniu kilku przyjaciół i lekarzy polaków, w d. 26 listopada 1855 r. o godzinie 9 wieczór zupełnie przytomnie, ze smutnem spojrzeniem, nie mówiąc nic, skonał wielki poeta polski, wieszcz geńjalny.

Ciało jego po nabalsamowaniu, w podwójnej trumnie w d. 30 grudnia 1855, na parowcu „Eufrat" przewiezione zostało z Konstantynopola przez Marsylję do Paryża i tam pochowane na cmentarzu Montmorency w grobie rodzinnym. Nakoniec 4 lipca 1890 roku, przy olbrzymim zjeździe narodowym z całej Polski w Krakowie, z wielką uroczystością złożone w sarkofagu w osobnej krypcie w podziemiach Katedry na Wawelu, spoczywa pośród grobów królów i wodzów Polski!

LIST OTWARTY
do Ligi Narodów w Genewie.

Prześwietna i Czcigodna Ligo!

Najwyższą władzą ustawodawczą i wykonawczą jesteś wespół z Najwyższym Trybunałem międzynarodowym.

Niedopuszczalna winna być wszelka wojna i zakazana przez Ciebie bezwzględnie. Gdziekolwiekby wybuchła musi być stłumiona niezwłocznie jak pożar w zarodku — przez ekspedycję zbiorową Państw, przez blokadę morską i zamknięcie granic lądowych Państwa wszczynającego wojnę, lub wreszcie przez okupację częściową jego terytorjum dla pokrycia kosztów i wynagrodzenia szkód.

Umarli z grobów o to wołają! Dwanaście miljonów szkieletów ludzi najdorodniejszych, poległych na polach bitew ostatniej wojny, wyciąga z mogił kościste prawice i żąda spokoju dla żywych...

Miljony matek, żon i sióstr osieroconych w żałobie domaga się pokoju:

Ligo Narodów, zakaż wojny!

Narazie zakaż bezwzględnie wyrobu gazów trujących! Każdy wytwórca tajny bomb i gazów trujących niech będzie karany najsurowiej jak zwykły zbrodniarz truciciel! Wytwórnie gazów i bomb trujących niechaj będą zmienione na fabryki pożytecznych nawozów rolniczych...

Ciężar wydatków na armje zbrojne przygniata srodze narody! Miljardy podatków marnuje się na naukę systematyczną zabijania ludzi!

Niechaj Liga Narodów wyda niezwłocznie nakaz redukcji wojsk obecnych we wszystkich Państwach corocznie o jedną dziesiątą część.

Olbrzymie wydatki na armje niech będą użyte na szkoły, czytelnie, bibljoteki publiczne, muzea, teatry i sale muzyczne.

Zamiast nauczać żołnierzy celnie strzelać i zręcznie rąbać, aby mordowali i truli braci swoich bliźnich i miljony ludzi niewinnych — trzeba uczyć wojskowych pracować pożytecznie dla dobra społecznego. Niech budują koleje żelazne, telegrafy i telefony, domy mieszkalne i drogi bite, szpitale i sanatorja dla chorych.

Po dziesięciu latach pozostała jedna dziesiąta część wojsk niechaj będzie złączona ściśle z żandarmerją i policją państwową dla strzeżenia porządku wewnętrznego i dla walki z bandytami międzynarodowymi wszczynającymi wojnę gdziekolwiek. Wojujący niech zapłacą wysoką kontrybucję na cele kultury i oświaty publicznej.

Racz przyjąć Prześwietna Ligo Narodów łaskawie te słowa, które Ci składa

Ubogi człowiek nieznany:
Stanisław Jan Czarnowski.

Kielce (Polska)
dnia 1 stycznia 1926 r.

P. S. Czcigodnych Panów Redaktorów gazet politycznych (jako dawny redaktor warszawskich „Nowin“, oraz kolega i współpracownik Henryka Sienkiewicza, Głowackiego-Prusa i Aleksandra Świętochowskiego) proszę uprzejmie o podanie odezwy powyższej w Swych dziennikach, i łaskawe nadesłanie odnośnych Numerów pod adresem: S. J. Czarnowski, Kielce, ulica Hipoteczna, 30 (Polska).

APPENDICE
à la 21-e livraison des „Memoires de Stanislaw Jean Czarnowski"
(Kielce, rue Hipoteczna 30, Pologne).

LETTRE OUVERTE
à la Ligue des Nations à Genève.

Très Illustre et Très Honorable Ligue,

Tu es le plus grand pouvoir législatif et exécutif avec le Haut Tribunal International.

Toute guerre doit être interdite et absolument défendue par Toi. Où qu'elle soit, elle doit être étouffée immédiatement, comme un incendie, dans son germe, par une expédition collective des Nations, par un blocus maritime et la fermeture des frontières continentales de l'Etat qui a commencé la guerre, ou enfin par une occupation partielle de son territoire, afin de couvrir les frais et de payer les dommages causés.

Les morts le crient de leur tombe! Douze millions de squelettes des hommes les plus sains, tombés sur les champs de bataille de la dernière guerre, élèvent du dernier asile leur dextre décharnée et exigent la paix pour les vivants...

Des millions de mères, d'épouses et de soeurs, orphelines en deuil, réclament la paix:

Ligue des Nations, interdis la guerre!

D'abord l'interdiction absolue de fabriquer des gaz asphyxiants. Que tout fabricant en secret de bombes et de gaz asphyxiants soit puni le plus sévèrement possible comme un vulgaire criminel empoisonneur! Que les fabriques de gaz et de bombes asphyxiants soient converties en usines d'engrais chimiques agricoles...

Le poids des impôts militaires écrase cruellement les peuples. Les milliards des impôts sont gaspillés pour apprendre à tuer systématiquement les hommes! Que la Ligue des Nations ordonne immédiatement la réduction des effectifs militaires actuels dans toutes les nations chaque année à raison d'un dixième.

Que les sommes énormes affectées aux armées soient employées à ouvrir des écoles, des salles de lecture et des bibliothèques publiques, des musées, des théâtres, des salles de concert.

Au lieu d'apprendre aux soldats à tirer juste et à bien sabrer, pour qu'ils massacrent et empoisonnent par les gaz leurs frères, leur prochain et des millions de vies innocentes, — il faut employer les soldats à travailler utilement pour le bien public. Qu'ils construisent des chemins de fer, des télégraphes, des maisons d'habitation et des routes, des hôpitaux et des sanatoriums pour les malades. Que la dixième année, la dernière dixième partie des effectifs militaires soit ajoutée à la police officielle pour maintenir l'ordre à l'intérieur et pour lutter contre les bandits internationaux qui allumeraient la guerre quelque part. Que les belligérants paient une contribution élevée destinée à la culture et à l'instruction publique.

Daigne, Très Honorable Ligue des Nations, agréer favorablement cette requête que T'adresse

un humble inconnu:

Stanislaw Jean Czarnowski.

Kielce (Pologne)
le 1 janvier 1926.

P. S. Très Honorés Messieurs les Rédacteurs de gazettes politiques (comme ancien rédacteur du journal varsovien „Nowiny", collègue et collaborateur de Henri Sienkiewicz, Glowacki-Prus et Alexandre Swiętochowski) je Vous prie cordialement de vouloir bien reproduire cette Lettre dans Vos journaux, et de m'envoyer les Numéros à l'adresse: S. J. Czarnowski, Kielce, rue Hipoteczna, 30 (Pologne).

„Pamiętniki Stanisława Jana Czarnowskiego“, wydawane zeszytami, zawierają wspomnienia z trzech stuleci XVIII, XIX i XX w porządku dziejowym. Zeszyty dotychczas wydane obejmują, prócz dawnych wspomnień rodzinnych (z tabelą genealogiczną) opis lat dziecięcych, czasów szkolnych w Kielcach, uniwersyteckich w Warszawie — działalność oświatową i publicystyczną autora tamże, jego podróże po krajach słowiańskich, na Wschód południowy oraz na Zachód, z mnóstwem szczegółów wielce interesujących o ówczesnych stosunkach pedagogicznych, owarzyskich, społecznych i dziejowych.